

Rozdział trzeci

1.

— Nie otwieraj! Adam, to nie ona, uważaj!

Dopiero po dłuższej chwili pojąłem, że obudził mnie mój własny krzyk. Nie rozumiałem tych słów, nie miałem pojęcia, czego dotyczą, lecz mogłem je dokładnie powtórzyć.

— Nie otwieraj. Adam, to nie ona, uważaj — wyszeptalem.

Otaczała mnie ciemność, a ja tkwiłem w niej w pozycji siedzącej. Na plecach i twarzy czułem spływające powoli strugi potu, dłonie miałem zaciśnięte w pięści, a całym moim ciałem raz po raz wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Rozprostowałem palce i usłyszałem, jak jakiś przedmiot ze stukotem spada na podłogę. Odruchowo po niego sięgnąłem, by po chwili po omacku odnaleźć podłużny kształt plastikowego długopisu.

Jak ślepiec namacałem przed sobą krzesło i chłodne kartki otwartego zeszytu. Położyłem na nim długopis, wstałem i ostrożnie, by o nic się nie potknąć, podszedłem do drzwi, przy których, jak pamiętałem, znajdował się włącznik światła. Zaraz potem pokój zalał ostry, osłepiający blask, który zmusił mnie do zmrużenia oczu.

Niedługo potem znów siedziałem w miejscu, w którym oknałem się ze snu, z niedowierzaniem wpatrując się w zapisane kartki. Moje pismo było tak staranne i równe, jakbym robił te notatki w biały dzień. Dłuższe wyrazy, które zbliżały się do krawędzi stron, przed przeniesieniem dalszego ciągu o wers niżej były rozdzielone myślnikiem, każdy nowy akapit zaczynał się od identycznego wcięcia, a poszczególne linijki były idealnie wpasowane w nadrukowaną na papierze, dość słabo widoczną sieć kratek.

Najpierw zapoznałem się z tekstem pobieżnie, nie potrafiąc oprzeć się pokusie, by jak najszybciej dotrzeć do ostatniej zapisanej linijki. Gdy skończyłem, nie miałem już ochoty czytać ponownie, ale zrobiłem to. Zupełnie jakbym spełniał jakiś ciężący na mnie obowiązek. Za drugim razem już wiedziałem, co będzie dalej, ale i tak podczas lektury ostatnich wersów nie potrafiłem opanować emocji.

— To już koniec — powiedziałem.

Przy słowie „koniec” głos mi się lekko załamał. Być może dlatego, że rozumiałem doskonale fałsz zawarty w tym zdaniu, a być może z jakiegoś innego powodu. Tak czy inaczej, dla Adama koszmar tak naprawdę dopiero się zaczynał. Jeśli teraz mógłbym dla niego coś zrobić, to ratunek polegałby na złożeniu jego zwłok w starzyźnianym kościele pośród leżących już tam ciał, by również i mój przyjaciel mógł zaznać pośmiertnego spokoju.

Mógłbym się może jeszcze ludzić, że te zapisane kartki nie mają z tym, co dzieje się gdzieś w innym wymiarze, nic wspólnego, ale gdy przeczytałem wszystko po raz trzeci, jednoznacznie wykluczyłem taką możliwość. Nigdy — obojętnie czy na jawie, czy we śnie, ani na trzeźwo, ani w alkoholowym widzie — nie potrafiłbym zbudować tego typu konstrukcji myślowych, charakterystycznych dla ludzi bezbrzeżnie wierzących, znających na wyrywki frazy modlitewników, natomiast dla Adama, przykładnego katolika, sumiennie uczestniczącego w kościelnych obrządkach, nie stanowiłoby to żadnego problemu.

Położyłem się na plecach, nie gasząc światła. W takiej pozycji, trzymając otwarty brulion nad sobą, przejrzałem zapisane przez siebie (a tak naprawdę przez Adama) kartki raz jeszcze. Z każdym zdaniem zeszyt stawał się coraz cięższy, aż wreszcie spoczął na moich piersiach, sprawiając wrażenie ważącego przynajmniej tonę. Nie miałem sił, nie potrafiłem i chyba nawet nie chciałem się z nim rozstać.

W okno cicho zastukał deszcz. Zaraz potem odgłosy ataku pierwszych nieśmiałych kropel-zwiadowców zostały wsparte liczniejszymi siłami wiosennej ulewy. Ciszę zastąpiło miarowe bębnienie o parapet, współgrające z głośniejszymi dźwiękami wody spływającej z dachu, obijającej się o boki okrągłych, blaszanych rynien, a następnie z pluskiem spływającej do powstałych przed chwilą kałuż.

„Ciekawe, czy w Starzyźnie też pada?” — pomyślałem.

Nie chciałem tego, ale i tak wyobraziłem sobie natychmiast Adama, gdy namawiany przez swoją ukochaną Magdę (w którą — niczym szatan kusiciel — wciela się zupełnie kto inny) bierze do ręki sznur i zakłada go sobie na szyję. Ona z uśmiechem patrzy na niego i obiecuje, że jeszcze tylko chwila i będą na zawsze razem, że gdy tylko dokona się to, co konieczne, opuszczą zapomnianą przez Boga Starzyznę, by nie wrócić tam nigdy więcej.

Ułamek sekundy, szarpnięcie liny, trwająca jakiś czas utrata świadomości i po chwili mój przyjaciel znów otwiera oczy, tyle że nie mają one już źrenic, a stojąca przed nim postać jest już teraz kimś zupełnie innym. Adam uświadamia sobie, że nigdy już nie spotka Magdy... Tuż potem dociera do niego także fakt, że Bóg, któremu tak bardzo ufał przez całe życie, pozostawił go jednak samemu sobie.

— Widzisz? — mówi Dobrowolski, wyciągając do niego lewą dłoń. — To nie było przecież takie straszne, a teraz ja jestem twoim bogiem... Razem podbijemy świat, a ja cię nigdy nie opuszczę...

Czy tak to się właśnie odbywało w Starzyźnie za każdym razem, w przypadku każdego z mieszkańców?

Być może, ale przecież oni wszyscy mieli na sumieniu potworny grzech. Niektórzy swój wybór przypieczętowali przyjęciem komunii z rąk oprawcy, więc można to zrozumieć. Ale Adam...? Jeśli nie popełnił jakiegś okropnej zbrodni w ostatnim czasie, to oznaczałoby, że został ukarany tylko za moją głupotę, a to nie byłoby przecież sprawiedliwe.

— „Ty jesteś Dobry i Miłosierny, wierzę gorąco, że nie zostawisz mnie tu samego” — zacytowałem na głos słowa z brulionu. — Obyś się nie mylił, Adam, obyś się nie mylił, przyjacielu...